
RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatarł śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej w poprzednich latach przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków pod red. nieodżałowanej pamięci Janusza Przewłockiego, pomysłodawcy tego działu w naszym piśmie. Zesłańcze wspomnienia wydawane były także w poczytnej serii „Tak było... Sybiracy”, realizowanej przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie, pod red. Aleksandry Szemioth, a także w roczniku „My, Sybiracy” wydawanym przez Oddział Związku Sybiraków w Łodzi.

Aktualnie relacje zesłańcze zgromadzone przez ten Oddział przekazane zostały do Instytutu Historii Uniwersytetu Łódzkiego, gdzie utworzono Archiwum Sybiraków. Będą one stopniowo opracowywane i udostępniane na łamach „Zesłańca”, podobnie jak relacje znajdujące się w zbiorach Muzeum Pamięci Sybiru w Białymstoku. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacamy naszą historiografię o cenne źródła dotyczące deportacji Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony Związku Radzieckiego. (red.)

*

Teofila Kieruzel – *Ciągle myślało się o jedzeniu*¹

Nazywam się Teofila Kieruzel (z domu Budźko). Urodziłam się 10 marca 1933 r. w osadzie Krzemienica Dolna. Ojciec nazywał się Kazimierz Budźko, a matka Bronisława z d. Jaśkiewicz. Ojciec był osadnikiem wojskowym (ochotnikiem).

Mieszkaliśmy w Krzemienicy Dolnej w powiecie wołkowyskim w województwie białostockim. Do 1940 r. mieszkaliśmy w tej osadzie. W nocy 10 lutego 1940 r. zostaliśmy aresztowani i z całą rodziną: ojcem, matką, starszą siostrą Heleną (urodzoną w 1926 r.) i młodszym bratem Henrykiem (urodzonym w 1935 r.) wywieziono nas podwodami na punkt zbiorczy, skąd następnego dnia odwieziono nas na dworzec do Zelwy. Była wichura i silny mróz. Brat w drodze odmroził ręce. W punkcie sanitarnym rozcierano je tak, że wszystko wróciło do normy.

Najstarszy brat Józef uczył się w gimnazjum w Brześciu i mieszkał na stacji, więc został [uniknął wywózki]. Jeden z sąsiadów widząc, co się

¹ Tytuł został zaczerpnięty z tekstu Autorki.

dzieje w nocy, pojechał po niego i w sianie go przywiózł. Przez pewien czas przechowywał go u siebie. Rano Sowietci już byli po niego, ale go nie znaleźli.

W Zelwie załadowano nas do bydłych wagonów. Zaryglowali drzwi. Okienka były zabite deskami, tylko czasem przedzierało się trochę światła. Były zrobione prycze, na które poukładano tobołki i wsadzono nas. W rogu wagonu była wycięta dziura do załatwiania się. Na środku stał żelazny piecyk. Rozebrać się nie było można, bo było bardzo zimno i ciasno. Jechaliśmy bardzo długo. Co dzień kilku żołnierzy otwierało wagony i wołali: „dwa czelawieka za wadoj!” i dwóch mężczyzn brało po dwa wiadra i przynosili gorącą wodę (kipiatok).

Mieliśmy ze sobą trochę żywności i suchary z chleba, więc jakoś przeżyliśmy podróż. Było zimno, bo palić nie było czym. Chciało nam się pić, więc lizaliśmy oszroniałe śruby w wagonie. Wreszcie zawieziono nas w okolice Swierdłowska. Zabrano tobołki do dezynfekcji (część z nich do nas nie wróciła). Zaprowadzono nas do łaźni – dzieci razem z dorosłymi. Przez parę dni nocowaliśmy w jakiejś sali. Następnie załadowano nas na odkryte ciężarówki (choć było bardzo zimno) i zawieziono do baraków w lesie w miejscowości Karabas.

Było tam sześć baraków, stały jeden za drugim, a siódmy stał na lekkim wzniesieniu z boku. Był to barak NKWD. W jednym baraku było z jednej strony 16 ganków i z drugiej też. W ganku mieszkały po dwie rodziny. Mieszkaliśmy w pierwszym baraku od strony torów w piątym ganku. Pamiętam kilka nazwisk: Pojmicze, Makarewicz, Kozik, Spychaj, Miluk, Nowosad. Przed barakiem były tory kolejowe. Bocznica do kopalni kamienia wapiennego. Za torami góry i bardzo duże lasy. Ojciec pracował przy wyrębie lasu, a matka jako górnik w kopalni rudy miedzi.

Młodszy brat zachorował na zapalenie płuc i w boku miał wodę. Był z nami wywieziony starszy lekarz, który leczył go kompresami. Zostałam zabrana do bawienia ruskiego dziecka. Pierwszej nocy, kiedy matka dziecka była w pracy, uciekłam, bo się bałam, że jak usnę, to Ruskie mnie zamordują. Psy mnie obsiadły. Stałam pod ścianą i głośno płakałam. Ludzie, którzy szli do kopalni na godzinę dwunastą w nocy, obronili mnie.

Minęłam się z mamą, która też szła do kopalni. Przez las dotarłam do baraków, choć była to długa droga, na dodatek w nocy. Mama wstąpiła zobaczyć, co się ze mną dzieje, a mnie nie ma. Rano musiałam wrócić do dziecka, bo był głód, a tam miałam wyżywienie, choć też skromne. Przebywałam tam do wyjazdu do Kazachstanu.

W 1941 r. transport Polaków wyruszył do Kazachstanu. W wagonach rozlegał się śpiew pieśni „Serdeczna Matko”, „Boże coś Polskę”. W Kazachstanie umieścili nas w małej ziemiance razem z p. Pojmiczami. Nic tam nie było, tylko piec ulepiony z gliny. Mała szybka przy samej ziemi. Drzwi z wejściem w dół. W jednym kącie na słomie siedziała rodzina Pojmiczów, a w drugim nasza. W czym chodziliśmy, w tym spaliśmy. Wkrótce przeniesiono nas do innego domku, gdzie było trochę lepiej. Następnie do trzeciego, w którym mieszkaliśmy z panem Janem Skubą i jego rodziną.

14 kwietnia 1942 r. umarł ojciec. Został pochowany w kołchozie niedaleko Pietrowki. Bez trumny, owinięty w prześcieradło, bo w stepach drzewa nie było. P. Skuba skradł nad kanałem kawałek drewna i zrobił krzyż. Było to koło stacji Burnoje.

Głodowaliśmy tam bardzo. Nosiliśmy workami kobyłak, parzyliśmy i tym żywiliśmy się. W maju 1942 r. zabrali nas z bratem Henrykiem do sierocińca w Burnoje, którego założycielem był Norbert Kant. Był on mężem zaufania Ambasady Rzeczypospolitej Polskiej w maju 1942 r. Mama ukrywała się, bo nie chciała przyjąć ruskiego obywatelstwa.

Sporo osób, których złapali zmarło w więzieniach. Dzieci pozbierano do sierocińca. Mamę moją w końcu złapali i wywieźli do kopania jakiś kanałów. Nie wiedzieliśmy czy żyje. Po pewnym czasie przyjechała do sierocińca, nie mogliśmy jej poznać, bo była spuchnięta z głodu.

Starszą siostrę przyjęli do sierocińca jako pomocnicę wychowawczyni. Pierwszej zimy miałam odmrożone nogi. W ambulatorium miałam ciętą i obcinaną skórę. Przez całą zimę nie mogłam chodzić. Przenosili mnie na dzień, sadzali na krześle w jadalni (była to jadalnia i bawialnia), a na noc na pryczę. Po roku część dzieci przewieziono do sierocińca nr 2 w Sajramie, gdzie byliśmy do powrotu do Polski. Wyżywienie było bardzo skromne: 150 g chleba razowego dwa razy dziennie. Na obiad barszcz z buraków cukrowych (woda i buraki). Latem chodziliśmy grupami zbierać *dżusan* (chwast wysoki do palenia) i *kiziaki* na pastwiskach kołchozowych.

W niedzielę Zielonych Świątek
Wielką nam przykrość zrobili
Ze wszystkich Polskich dzieciaków
Kiziaki zbierać pędzili.

Kiedy dojrzała bawełna, chodziliśmy do kołchozu ją zbierać. Każde dziecko przynosiło trochę bawełny pod bluzką. Zimą jedna grupa przędła na wrzecionie, druga robiła bluzki, dla siebie i innych dzieci. Należałam do kółka haftu, które prowadziła pani Rogowska. Wyszywaliśmy tarczki do bluzek, na czerwonym tle białe orzelki, ja haftowałam taledo na wystawę. Cieszyliśmy się kiedy szliśmy na plantację bawełny, bo tam można było znaleźć arbuza lub melona, którymi mogliśmy się posilić.

Pewnego razu zachorowałam na malarię i zostałam zabrana do ruskiego szpitala. Po powrocie ze szpitala byłam wyczerpana i żółta, ale stopniowo doszłam do siebie. Następnie zaczęłam dostawać wrzody na całym ciele. Po powrocie do Polski też miałam masę wrzodów.

W Sajramie chodziliśmy też do szkoły. Był to opuszczony domek, w którym wychowawczynie z sierocińca nr 1 i nr 2 nas uczyły. Było bardzo zimno, a na ławkach leżał śnieg. Siadałyśmy z nogami pod siebie, jedna przy drugiej, żeby było cieplej. Pisać nie było czym, ani na czym. Pisaliśmy patykiem na piasku. Jak się znalazł ołówek, to na gazecie, jeśli takie były. Z jednej starej książki uczyła się całą klasa. Każde dziecko czytało po jednym zdaniu, taka była szkoła.

Ciągle myślało się o jedzeniu. Żeby się najeść do syta. Był też chór prowadzony przez kierowniczkę panią Jankowską. Wychowawczyniami były przeważnie nauczycielki wywiezione [w sensie deportowane z Polski]. Miałyśmy białe bluzeczki zrobione przez siebie z tarczkami, które wyszyłyśmy. Na uroczystościach w nich występowałyśmy. Kiedy dowiedzieliśmy się, że wojna się skończyła, szaleliśmy z radości.

Zaczęły się przygotowania do powrotu do Polski. Szyto plecaki dla każdego dziecka. Szyto torby, wciągano sznurek i przyszywano szelki, wyszywano numer. Każde dziecko było wezwane przed komisję, gdzie

zadawano pytania – m.in.: „Dlaczego chcesz wracać do Polski?”. Wcześniej wychowawczynie nas pouczyły [jak odpowiadać]: „bo to nasza Ojczyzna i tam mamy swoje rodziny, które na nas czekają”.

W maju 1946 r. w szyku wojskowym i z plecakami na plecach wyruszyliśmy w drogę na dworzec do Czymkientu. Byliśmy szczęśliwi. Na dworcu spotkał nas zawód. Przez jakiś czas musieliśmy czekać na transport. Spaliśmy na posadzce z plecakami pod głową, ale ucieszyliśmy się, że wracamy do kraju.

Wreszcie podstawiono transport. Wagony towarowe z pryzkami, pod którymi były powbijane gwoździe do powieszenia plecaków. Każda grupa miała swój wagon. Mieliliśmy jedno ubranie na sobie, a drugie w plecaku. Przed większą stacją przebieraliśmy się w lepsze ubranie. Staliśmy blisko drzwi i śpiewaliśmy. Transport składał się z kilku sierocińców. Był sierociniec nr 1, gdzie był p. Pierożyński z siostrą, nasz nr 2 z Sajramu i wiele innych z innych miejscowości.

Jechaliśmy bardzo długo. Postoje były długie, gdyż tory były pozajmowane. Wreszcie pociąg się zatrzymał w Baranowiczach. Była to wzruszająca chwila. W kościołach zaczęły bić dzwony na powitanie powracających Polaków.

Po sześciu i pół roku usłyszeliśmy bicie dzwonów kościelnych. Płakaliśmy z radości. Część dorosłych pobiegła do kościoła, by podziękować Panu Bogu za powrót. Po dłuższym postoju pociąg ruszył w dalszą drogę do Brześcia, gdzie przeładowano nas do wagonów osobowych. Po załatwieniu różnych formalności wyruszyliśmy do Warszawy, gdzie postój był długi. Warszawa była bardzo zniszczona. Ludzie podchodzili do wagonów i podawali nam cukierki, które wychowawczynie dzieliły, żeby każde dziecko mogło spróbować. Wychowawczynią naszej grupy była Janina Leopold. Z Warszawy wywieziono nas do Gostynina. Na miejscu przeprowadzono kwarantannę. Teraz dopiero po tylu latach mogliśmy się najeść do syta.

Przez pewien czas przebywaliśmy w Gostyninie, a następnie rozdzielono nas. Sieroty były rozsyłane do sierocińców w całej Polsce. Pólsieroty zabierali rodzice, którzy żyli. Matka moja, która wróciła razem z nami, zabrała nas. Wozili nas po całym kraju, wreszcie zawieziono nas do Jeleniej Góry do PURu. Chodziliśmy tam na religię, gdzie 15 sierpnia przystąpiliśmy do Pierwszej Komunii Świętej.

Późną jesienią 1946 r. zawieziono nas do Barcinka (Korczaków) – gmina Stara Kamienica, gdzie chodziłam rano do szkoły, a po południu bawiłam dziecko pana Barabasza. Brat pasł krowy. Po przejściach w Rosji brat zaczął chorować na gruźlicę kości w biodrze. Leczą go dwa lata. Zakładano gips, co trzy miesiące zmieniano. Zmarł mając 18 lat. Ja chorowałam na różę na twarzy i mało brakowało do śmierci. Leczyli mnie w szpitalu w Cieplicach. Dzięki Bożej pomocy żyję.

Piosenka ułożona przez młodzież na Uralu

W około lasy, dzikie pustynie
W sercu apatia, głęboki żal
Tu na Uralu Polscy wygnańcy
Stęsknione oczy patrzą w dal.
Z dala od wszystkich, rzuceni w skały
Bez swej Ojczyzny i chaty swej
O droga Polsko, niech się nam przyśni
O kiedy wrócimy do niej.

Młody Polaku, któryś pozostał
 Tam na Ojczyźnie kochanej swej
 Zerwij kajdany, co ją przykuły,
 A wtedy wrócimy do niej.
 Miejmy nadzieję wszyscy wygnańcy
 Ze troski prysną w rozbitym szkłe
 Gdy my zginiemy, nikt się nie dowie
 Czy dobrze było nam, czy źle.
 A gdy nadejdzie chwila odjazdu,
 Każdy do drogi szykuje się
 Wszystko nam będzie, nic nie potrzebne
 Wszak nowe życie zacznie się.
 Gdy potem razem w jednym transporcie
 Wracać będziemy do Polski swej
 Każdy z uśmiechem zaśpiewa sobie
 O droga Polsko, witam Cię.

Mój pierwszy wiersz z sierocińca

O nie rozpaczaj tak dziecię
 Że nie masz ojca i matki
 Pan Jezus chodzi po świecie
 I zrywa na łąkach kwiatki.
 Chodzi od wioski do wioski
 I z kwiatków wianuszki zwija
 Szczęśliwy uśmiech ojcowski
 Do chaty rzuca i mija
 Lecz gdy sierotę napotka
 W chacie zwałonej od gromu
 Na ten czas zjawia się słodka
 Twarz Jego na progach domu
 I Boskie wyciąga dłonie
 Aby przytulić sierotę
 Niesie jej blaski i wonie
 Kwiatki niebieskie i złote
 A każdy kwiatek niebieski
 Wziąć pączki wypuszcza świeże
 Jasnymi niebios barwami
 Duszę sieroty ubierze
 I każdy kwiatusek złoty
 W przewodnią gwiazdę się zmienia
 I lśni nad czołem sieroty
 Iskrą czystego natchnienia
 Chodź pójdziesz drogą boleści
 Chodź nie znasz rodzinnej strzechy
 W swych piersiach dziedzictwo mieści
 Pełne niebiańskiej pociechy
 Więc nie rozpaczaj tak dziecię
 Że nie masz ojca i matki
 Pan Jezus chodzi po świecie
 I zrywa na łąkach kwiatki

Dzieciństwo Autorki wspomnień skończyło się w 1940 r., gdy jako niespełna ośmioletnie dziecko została wraz z rodziną deportowana przez Sowieców z rodzinnej miejscowości do obwodu swierdłowskiego na Syberii (miejscowość Karabas). Tam rozpoczęła się jej zesłańcza tułaczka, naznaczona wieloma tragicznymi wydarzeniami: śmiercią ojca, aresztowaniem matki i jej

głódowym wycieńczeniem, pracą pod siły, strachem, głodem i chorobami. W wyniku „amnestii” z 1941 r. rodzina Budzków wyjechała do Kazachstanu. Znaleźli się w kołchozie w Pietrowce w obwodzie dżambulskim, gdzie w 1942 r. zmarł ojciec Teofili, a ukrywająca się przed NWKD matka nie mogła zająć się dziećmi (wkrótce została aresztowana i wywieziona). W tych okolicznościach Autorka trafiła do polskiego sierocińca w Sajramie w obwodzie południowokazachskim (ze stolicą w Czymkiencie), gdzie przebywała do repatriacji w 1946 r.

Niniejsze wspomnienia stanowią świadectwo tragicznych losów dziecka, któremu wojna i deportacja zniszczyły rodzinę, dzieciństwo i poważnie nadwątlily zdrowie. Autentyczności relacji przysparzają załączone wiersze Autorki. W Archiwum Sybiraków UŁ wspomnienia Teofili Kieruzel noszą sygnaturę R-28 (dawna sygnatura to R-145). Składają się nań rękopisy oraz maszynopis (sporządzony przez Ewę Spodenkiewicz).

*Opracowanie relacji
Wojciech Marciniak*